

BIBLIOTEKA UNIW. W POZNANIU



223430

IV. A. 219.

638.

NA PAMIĄTKĘ

pobytu

BOGUMIŁA DAWISONA

w Poznaniu.



Alpuhara, Ballada Adama Mickiewicza.

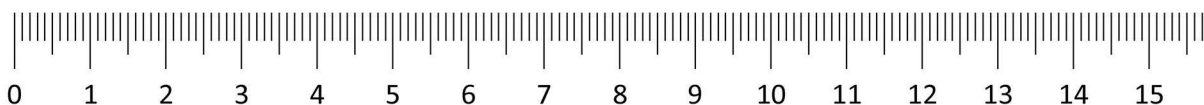
Gewęda o Wachmistrzu Doroszu, Wincentego Pola.

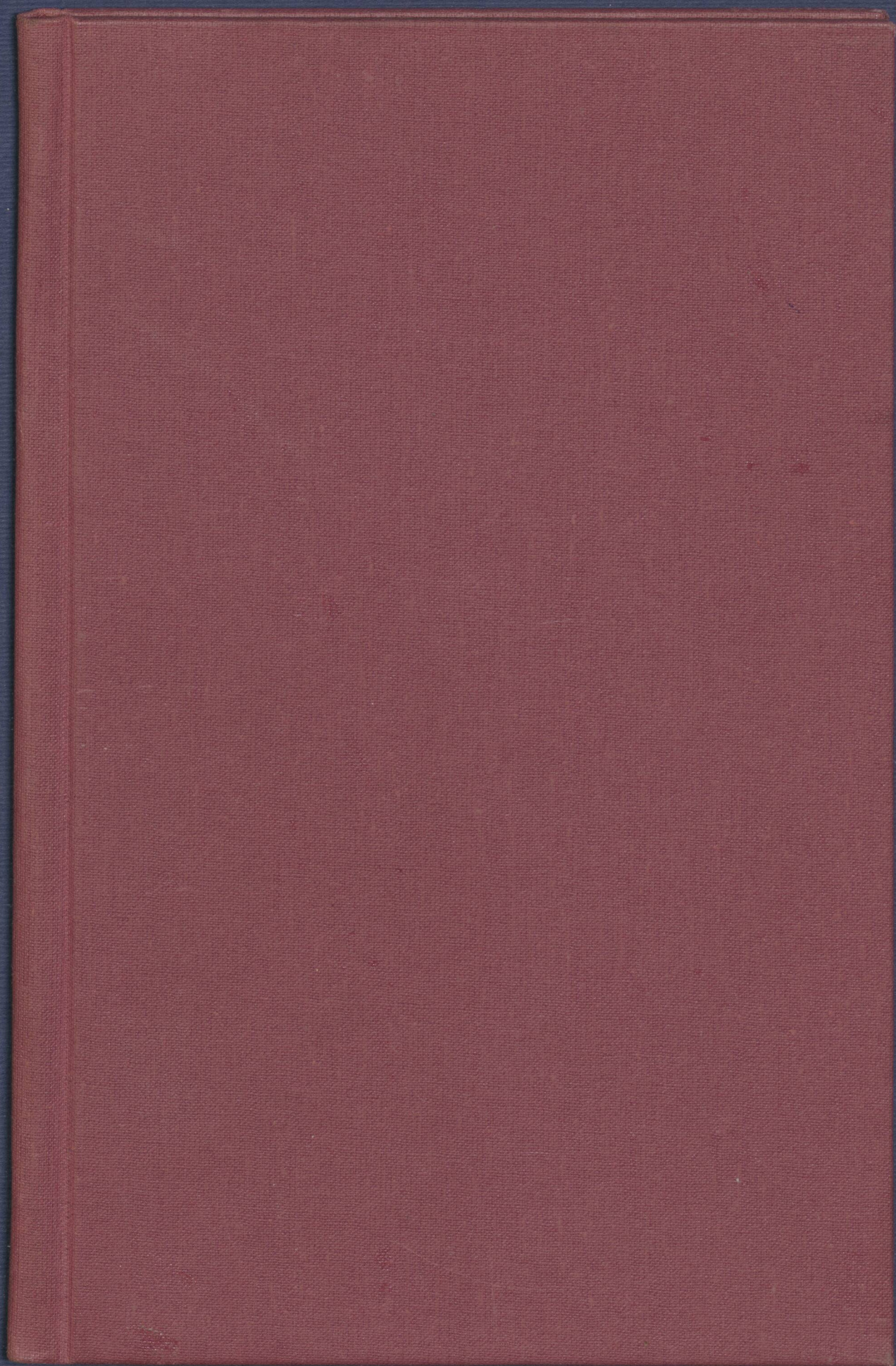
2024222

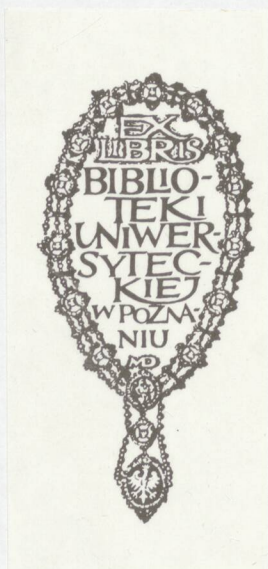
POZNAŃ,

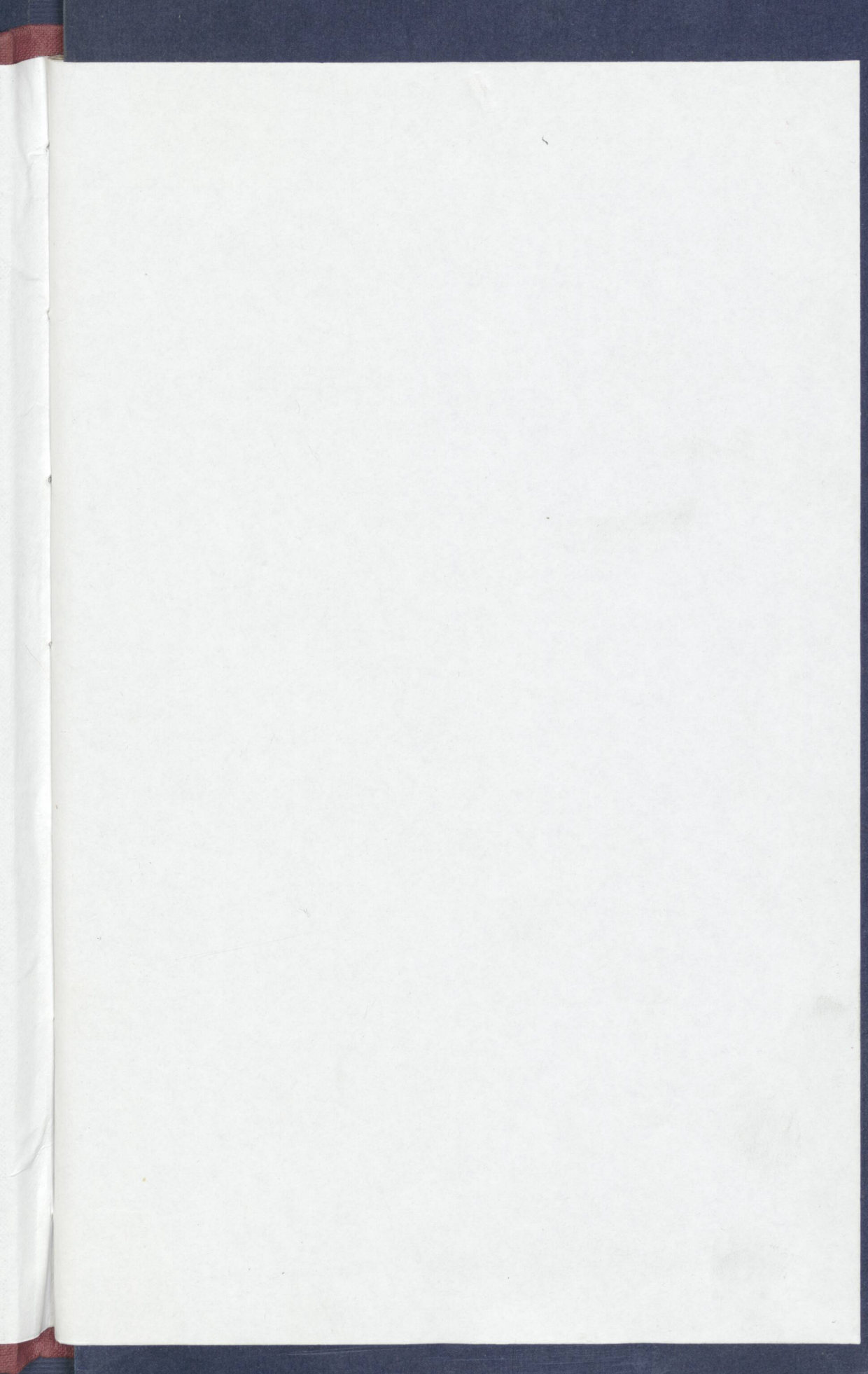
Czcionkami i nakładem Ludwika Merzbacha.

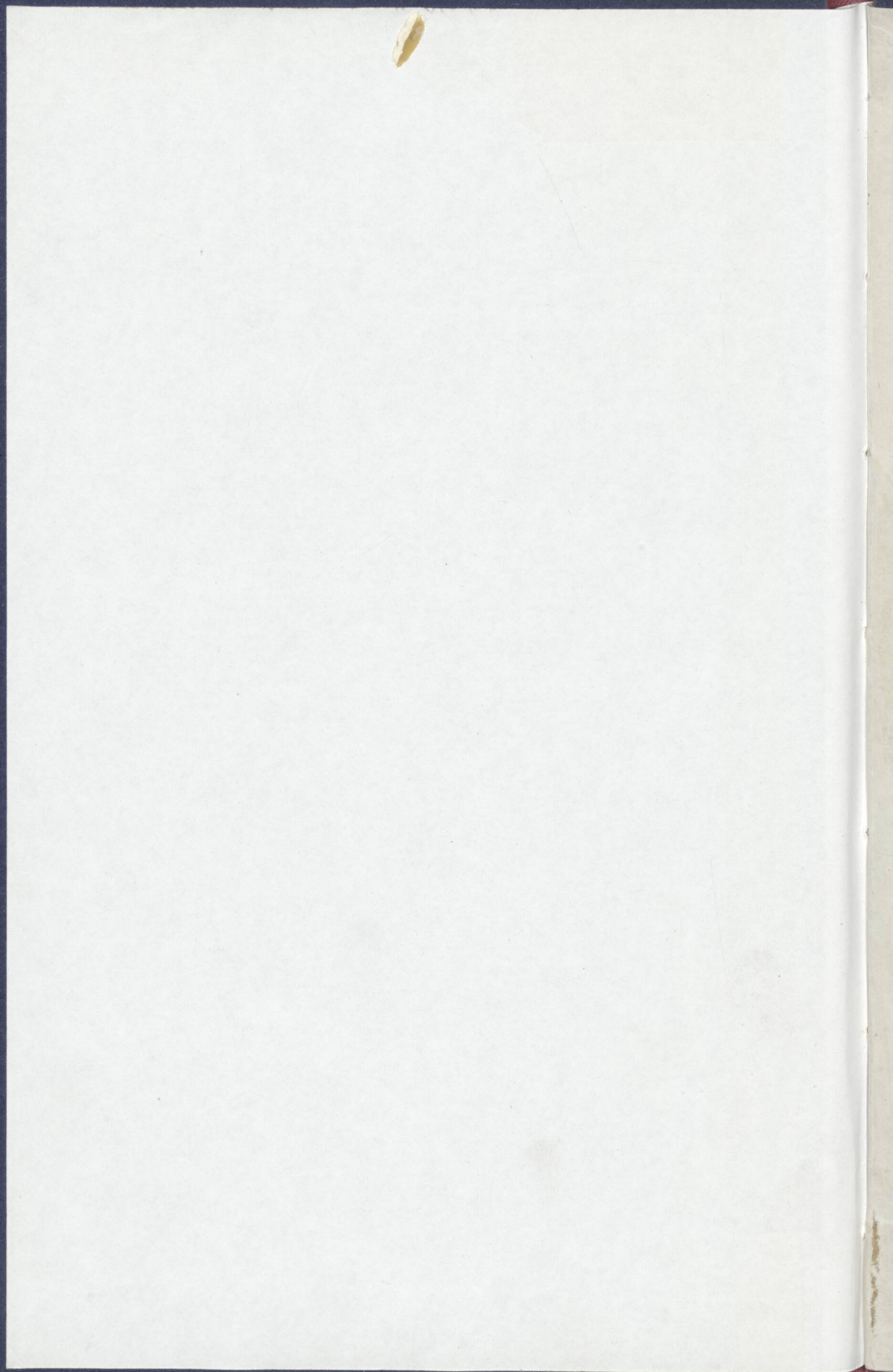
1854.











BIBLIOTEKA UNIW. W POZNANIU



223430

IV. A. 219.

638.

NA PAMIĄTKĘ

pobytu

BOGUMIŁA DAWISONA

w Poznaniu.



Alpuhara, Ballada Adama Mickiewicza.

Gwęda o Wachmistrzu Doroszu, Wincentego Pola.

1024222

POZNAŃ,

Czcionkami i nakładem Ludwika Merzbacha.

1854.

Poezye niniejsze były deklamowane

przez

PANA DAWISONA

w Teatrze w Poznaniu

dnia 19. Maja 1854.

223430 II



1950 D. 1744

ALPUHERA.

BALLADA

przez

ADAMA MICKIEWICZA.

Już w gruzach leżą maurów posady,
Naród ich dźwiga żelaza,
Bronią się jeszcze twierdze Grenady,
Ale w Grenadzie zaraza.

Broni się jeszcze z wież Alpuhary
Almanzor z garstką rycerzy,
Hiszpan pod miastem zatknął sztandary,
Jutro do szturmu uderzy.

O wschodzie słońca ryknęły śpiże,
Rwą się okopy, mur wali,
Już z minaretów błysnęły krzyże,
Hiszpanie zamku dostali.

Jeden Almanzor widząc swe rotę
Zbite w upornej obronie,
Przerznął się między szable i groty,
Uciekł i zmylił pogonie.

Hiszpan na świeżej zamku ruinie
 Pomiedzy gruzy i trupy,
 Zastawia uczte, kapie się w winie,
 Rozdziela brańce i łupy.

W tém straż oddźwierna wodzom donosi,
 Że rycerz z obcej krainy
 O posłuchanie corychlěj prosi,
 Ważne przywożąc nowiny.

Był to Almanzor król muzułmanów,
 Rzucił bezpieczne ukrycie,
 Sam się oddaje w ręce Hiszpanów,
 I tylko błaga o życie.

„Hiszpanie, woła, na waszym progu
 Przychodzę czołem uderzyć,
 Przychodzę służyć waszemu Bogu,
 Waszym prorokom uwierzyć.

„Niechaj rozgłosi sława przed światem,
 Że Arab, że król zwalczony,
 Swoich zwycięzców chce zostać bratem,
 Wasalem obcej korony.“

Hiszpanie męztwo cenić umieją;
 Gdy Almanzora poznali,
 Wódz go uściskał, inni koleją
 Jak towarzysza witali.

Almanzor wszystkich wzajemnie witał,
 Wodza najczulěj uściskał,
 Objął za szyję, za ręce chwycił,
 Na ustach jego zawisnął.

A w tém osłabnął, padł na kolana,
 Ale rękami drżącemi
 Wiążąc swój zawój do nóg Hiszpana,
 Ciągnął się za nim po ziemi.

Spojrzał do koła, wszystkich zadziwił,
 Zbladłe, zsiniałe miał lice,
 Śmiechem okropnym usta wykrzywił,
 Krwią mu nabiegły źrenice.

„Patrzcie o giaury! jam siny, blady,
 Zgadnijcie, czym ja posłem?
 Jam was oszukał, wracam z Grenady,
 Ja wam zarazę przyniosłem.

„Pocałowaniem wszczepilem w duszę
 Jad, co was będzie pożerać,
 Pójdźcie i patrzcie na me katusze,
 Wy tak musicie umierać.“

Rzuca się, krzyczy, ściąga ramiona,
 Chciałby uściśnieniem wieczném
 Wszystkich Hiszpanów przykuć do łona;
 Śmieje się — śmiechem serdecznym.

Śmiał się — już skonał — jeszcze powieki,
 Jeszcze się usta nie zwarły,
 I śmiech piekielny został na wieki
 Do zimnych liców przymarły.

Hiszpanie trwożni z miasta uciekli,
 Dżuma za nimi w ślad biegła,
 Z gór Alpuhary nim się wywlekli
 Reszta ich wojska poległa.

GAWĘDA DOROSZA,

Wachmistrza szwadronowego Legii Nadwiślańskiej.

Czy też lichy mi nadało
Służyć z taką ruchawicą —
Służby żadnej, ducha mało,
Tylko starym baki świecą. —
Sama szlachta, same pany —
A człek tylko wachmistrz sobie —
Lecz choć lichy i nieznany,
Za pułk cały służbę robię.
Człek się musi napracować,
Nieraz się pocę ze sromu, —
Bo gdy przyjdzie rozkazować,
A tu słuchać nie ma komu. —
Nieraz krzyczę: „stać kommenda“ —
Gdzie tam panie im to w głowie, —
Szwadron się gdzieś po wsi swęda,
Lub jak skutny chrapie w rowie.

W całym pułku dawniej daty
Człowiek jeden, aż nie miło —
Gdzieś wymarły stare chaty,
Nie tak panie przedtém było.

Mój pólkownik żołnierz stary,
Nie dzisiejsza nasza družba,
Tęgi człowiek, zna co służba. —
Cóż gdy niema dawniej wiary —
Z rekrutami trudna sprawa,
Bo gdy cały pułk sąsiady,
Więc gawęda, rada, wrzawa,
A dwóch tylko nie da rady.

Nieraz każę, gdzie wypada —
 Ten przyzywa wnet sąsiada:
 „Słuchaj hrabio, hej panowie!
 „Czyśmy na to tu zjechali,
 „Niechaj każdy z panów powie,
 „Abyśmy na deszczu stali?“ —

I zastawia się sąsiadem;
 Bo ma w wojsku szkapę własną. —
 Z takim pułkiem, z takim ładem,
 Niech pioruny w ten pułk trzasną.

Choć posłucha nawet który,
 Zajmie pocztę i nie gada,
 To jak wymknie z jakiej dziury
 Gdzieś tam kozak, krzyknie: „zdrada!“ —

A to darmo, ja inaczej
 Stawiać pikiet już nie umiem,
 Ani wojny nie rozumiem —
 Jakżeż jeden wszystko znaczy. —

Biada, młodzi na mnie liczą,
 Walą jak na szkapę siwą,
 Niby starsi na mnie krzyczą:
 „Nuż Doroszu, ruszaj żywo;
 „Dorosz patrol dziś prowadzi
 „I języka się postara;
 „Dorosz, a czy kute konie?
 „Dorosz na sąd i do rady;
 „Dorosz służbę ma w szwadronie.“

Słowem panie mówiąc krótko,
 Hasłem w pułku imie moje,



Brzmi z wieczorem, brzmi z pobudką,
 Dzień przejeżdżę, noc przestoję —
 Bo to mało ważą młodzi,
 Że się w służbie wiek strawiło,
 Że się starych uczcić godzi —
 Nie tak panie przedtém było.

Jeszcze służba obozowa
 Jaka taka, pół z nią biedy, —
 Ale wtenczas panie, kiedy
 Już o boju przyjdzie mowa,
 Wolałbym się z baby wadzić,
 Albo jeszcze i co więcej,
 Niż do boju poprowadzić
 W dobrym szyku pułk panięcy;
 Bo tu ogień, a tu rada;
 I tak słowem zawsze jedno —
 Na deresza Dorosz wsiada
 I harcuje szkapę biedną.
 Już tam siebie nie żałuję,
 Choć i moja krew nie woda —
 Aleć konia panie szkoda,
 Bo to mi się koń marnuje. —
 A tam każdy ma wymówki,
 Bo ten wrócił od placówki,
 A ten chory, a ten ścięty,
 A czwartego koń ustanie,
 A piątego zle podpięty,
 A niejeden stchórzył panie. —

Wtenczas pochlebstw już bez liku:

„Nuż Doroszu stary świku,

„Nasze stopnie do androny —

„Wasze żołnierz doświadczony.“ —

— Wasze, wasze — no dość tego,
 Już to wstyd dla młodej wiary,
 Kiedy chwalić trza starego —
 Ale swoje zrobi stary. —

A więc ruszam wprzód plutonem,
 W pierwszą lepszą wpadam lukę
 I rznę sobie po dawnemu
 Moją panie starą sztukę. —
 Lecz gdy tylko bój ustanie,
 Zaraz stracę na walorze,
 Wtenczas to nikt starych, panie,
 Za stworzenie nie ma boże; —
 Bo my starzy nic nie czujem,
 I jakiegoś ducha czasu
 Wyszłym mózgiem nie pojmujem. —
 Co to znaczy, wiedzą kaci —
 Bo to, odkąd w świecie żyję,
 U mnie duch, co dobrze bije,
 A czas to, co dobrze płaci. —
 Ale u nich to ten tęgi,
 Kto gardłuje całą siłą,
 A kto schlebia, godzien wstęgi; —
 Nie tak panie przedtém było.

Raz pamiętam tak się darzy,
 Gdyśmy stali w przedniej straży,
 Każdy się jak w matni kręci,
 Bo wiedzieli co się święci.

Moskal prawie nas otoczył,
 A jednak odciąć nie zdołał;
 Mój pólkownik, gdy to zoczył,
 Wnet do siebie mnie zawołał,

I rzekł do mnie: — ot wiesz stary,
 „Bo się nie mam kim usłużyć,
 „Dwóch nas tylko z staréj wiary, —
 „Trzeba będzie wrogów zdurzyć.
 „Jedź do sztabu, weź papiery,
 „Zdaj wodzowi rapport szczery;
 „Niech też o nas przecie radzą,
 „Bo nam djabłą łupnię dadzą.“

On rzekł, ja się kopnął cwałem,
 A nie byłem nigdy w sztabie —
 Wódz nie żarty, pomyślałem,
 Szlify wodza, to nie grabie.
 Nuż człowieka na czém schwyta,
 Trzeba mu się odciąć sprawnie,
 Nuż z nienacka się zapyta:
 Jak, zapyta, służysz dawno,
 Kiedys dostał krzyż francuzki,
 W wojnie pruskiej, czy też ruskiej,
 Czyś tam kontent z młodéj wiary,
 A pułkownik, czy zdrów stary,
 Czy też wszystko was dochodzi,
 Co się dzieje, czy wróg godzi,
 Czy są działa, jest piechota,
 A na skrzydłach las czy błota; —
 Słowem wszystko pomyślałem. —
 Kontent ruszam, wiatry wieją,
 Czasem spojrzę, są depesze,
 A mój deresz sobie czesze,
 Aż się wszyscy djabli śmieją.

I stanąłem w sztabie rankiem,
 A starszy czoło ze znoju,
 I rznę prosto do pokoju. —

„Gdzie wódz, pytam. Czyś zwarjował,
 „Któż o wodza się tak pyta,
 „Znać żeś w pułku się wychował. —
 „Gdzie wódz, rzekłem — mów i kwita. —
 „To żołdactwo, to natręty:
 „Wódz śpi jeszcze, bo dzień chmurny. —
 „A szef sztabu — Szef zajęty —
 „A dyżurny — Śpi dyżurny. —
 „Mój tu przyjazd nie wizyta,
 „Przez noc całą do was cheszę;
 „Słuchaj panie — mam depesze,
 „Zbudzić służbę, ot i kwita.“ —

Ja tak rzekłem, on się zdziwił,
 Stuknął, mruknął, nosem skrzywił,
 I samego mnie zostawił. —
 Ale się nieźle ubawił,
 Bom stał ze trzy godzin w sieni,
 A trzy godzin to nie mało,
 Gdy człek głodny po bezseni,
 Więc mi się na sen zebrało.

Jednak myślę poniewoli,
 Co téż długo wódz tak robi;
 Pewnie jaki plan sposobi —
 Aż tu słyszę, wódz się goli,
 Niechaj goli kiedy goli.
 Bo i naszych panie golą,
 A Moskale nie swawolą,
 Kiedy biją, djabie boli.
 Wreszcie dano znak: śniadanie —
 W jednej chwili, szastu, prastu,
 I wypada do mnie, panie,
 W okularach siedemnastu.

Wyszedł orszak okazały,
 Wszyscy smacznie zjadali,
 Po francuzku rozmawiali
 I perfumy zapachniały. —

Tu się, widzę, nie źle dzieje,
 Bo tu tylko wino płynie,
 A tam krew się polska leje,
 Ach! i pułk mój może ginie. —
 Żal mi było pułkownika —
 O depesze nikt nie spytał,
 Nikt mnie z panów nie powitał,
 Jam nie umiał ich języka. —

Ej — chybiłem wioskę pono —
 Dla starego to rzecz nowa —
 Tu po polsku ni pół słowa,
 A o sztabie mi mówiono. —

Wreszciem poznał tych Ichmości:
 To Francuzi niezawodnie,
 Których wódz chce uczcić godnie,
 By znał Francuz, że tu gości.

Gdy tak myślę z miną tęgą,
 Jeden na wiarusa wpada:
 A hultaju, a ciemiego,
 Przydymiona czekulada. —

Bracia szlachta niech nam żyją!
 Wszak to nasi, nie Francuzi;
 Ale warto im dać buzi,
 Znać, że się za wolność biją, —
 I żal mnie za serce ścisnął. —

Ukończono wreszcie gody,
 Jam się z raportem precyzyjnie,
 Wziął go jakiś panicz młody —
 Wziął, przeczytał, na stół rzucił. —
 A kiedy tak, to źle panie, —
 Jakąś piosnkę przez nos nucił,
 W końcu rzekł mi niespodzianie:
 „Korpus rozkaz tam dostanie.“ —
 „To pułk tylko, rzekłem skromnie.“ —
 „To pułk tylko? — wielkie zwierzę,
 „To i o nim się tam wspomnie. —
 „Wiarus wódki się napije,
 „Bo ja to znam doskonale,
 „W pułku się tam lichy żyje.“ —

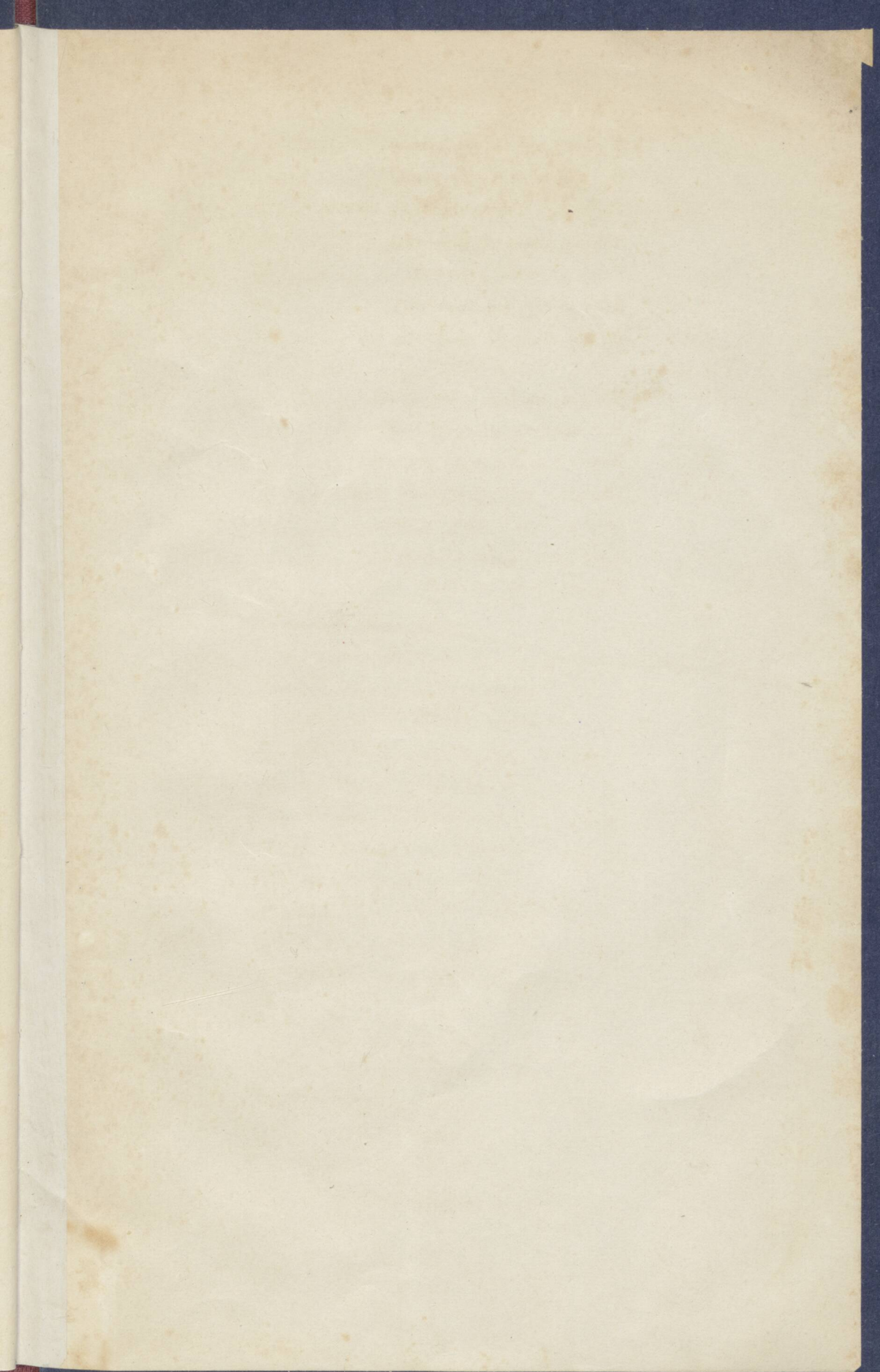
A co tego, to za wiele,
 A więc panie rzekłem śmieje:
 „Nie tak lichy jak niegrzecznie,
 „W pułku trochę niebezpiecznie. —
 „Co do wódki, z nami kwita,
 „Bo mam moją od kozaka,
 „A choć może i nie taka,
 „Milsza dla mnie, bo zdobyta. —
 „Bądź zdrow panie kapitanie,
 „Niech was jasny piorun trzaśnie —
 „Wkrótce panie jaśnie zgaśnie,
 „A mospanie pozostanie.“ —

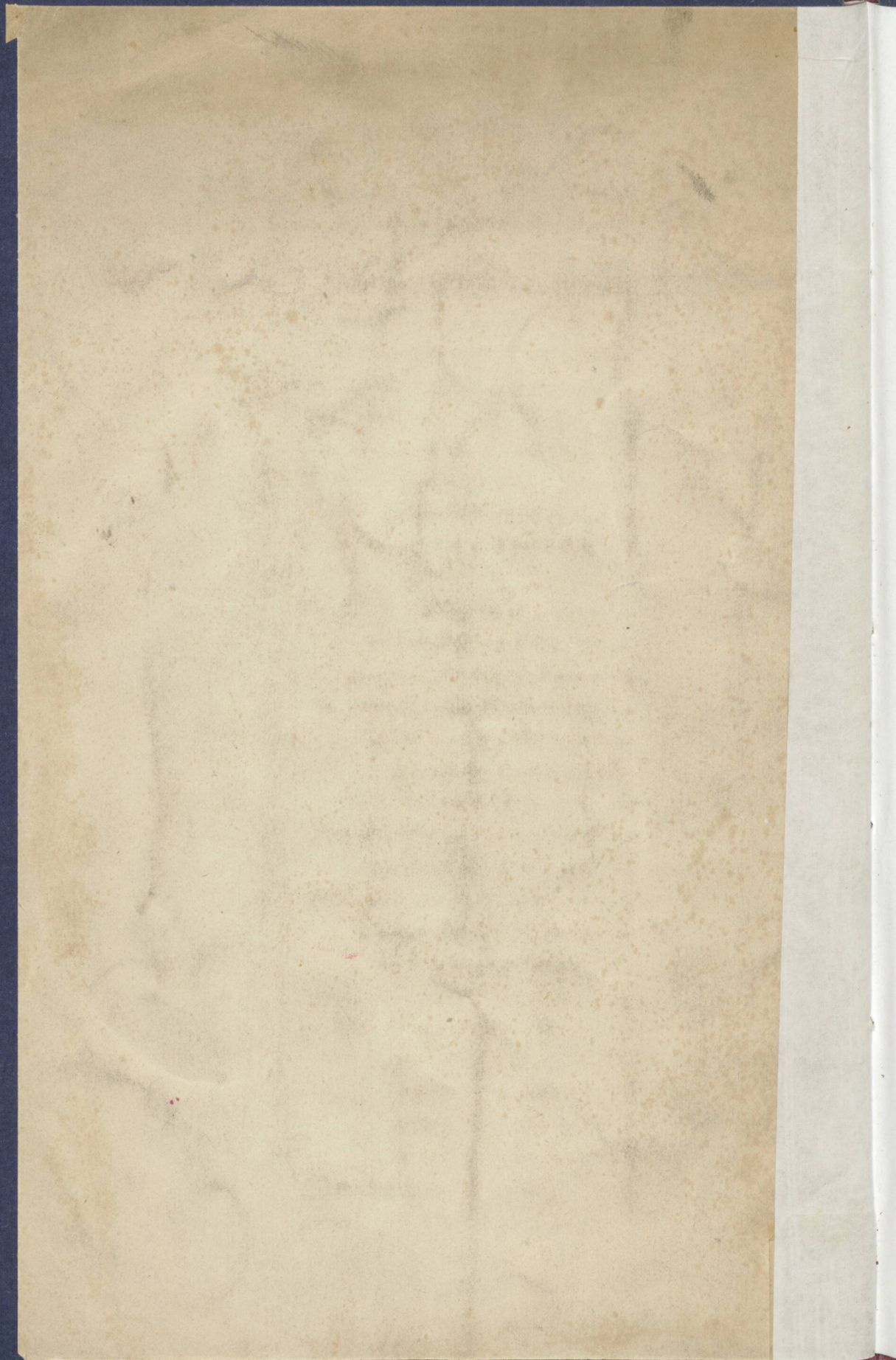
— Tak burknąłem im przez zęby. —
 Gdyby mi się popadł który,
 Toby poznał, jak Mazury
 Kpów pytlują na otręby —
 I wyszedłem; na spiekocie
 Koń mój biedny stał przy płocie,

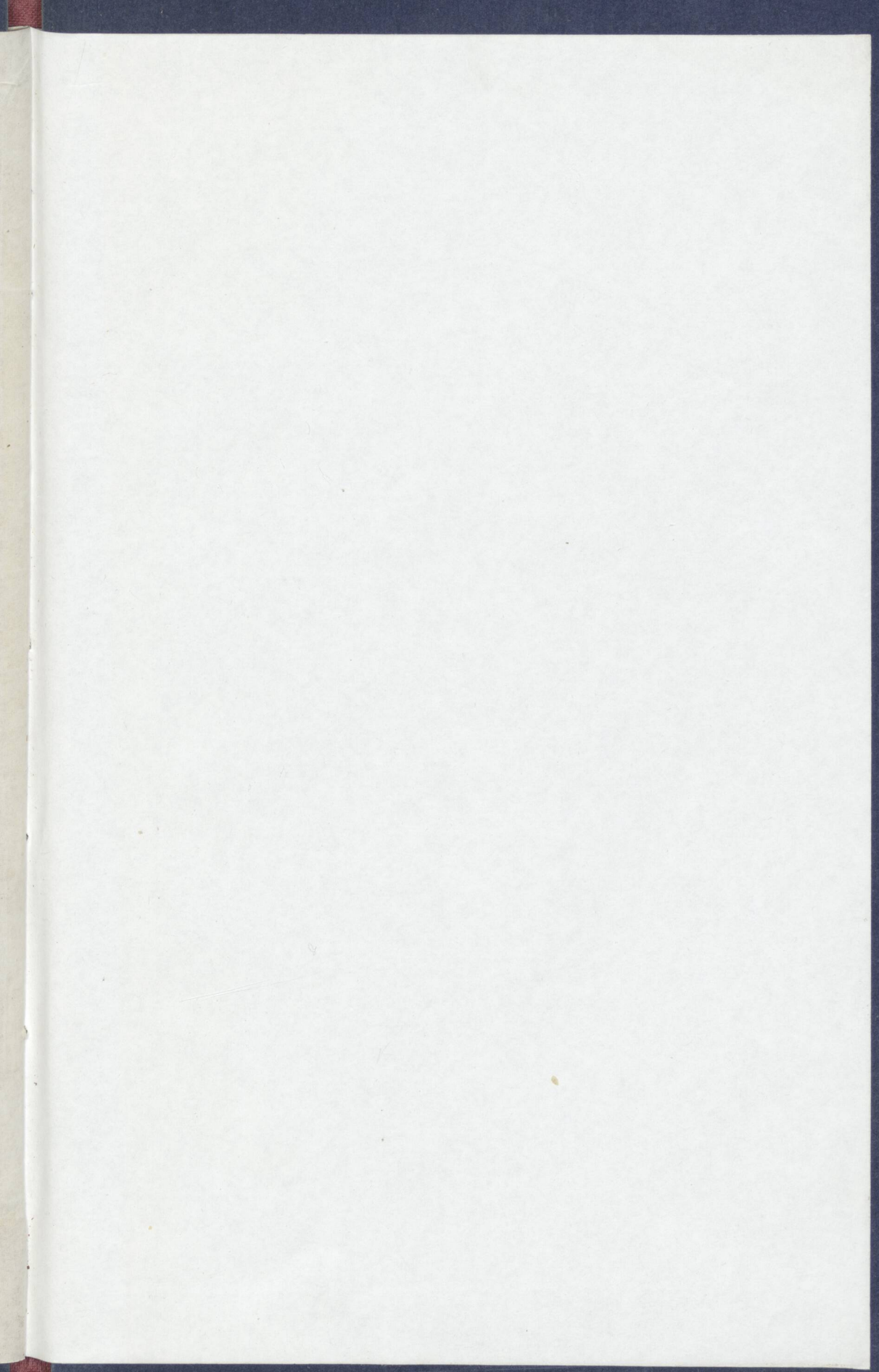
Z głową na dół pochyloną.
Oj! nam obu źle tu pono.
Pójdź mój koniu, źle w téj stronie,
Kłątwa kraju na niej leży,
Tutaj piorun ich uderzy,
Albo ziemia ich pochłonie,
Że tak służą téj ojczyźnie. —

Siadłem na koń ledwo żywy,
Ból uczułem w każdéj bliźnie,
Żem się musiał ująć grzywy,
Chciałem zginąć, powiem szczerze,
Gdy się lepiej wiek strawiło,
Lecz dziś i kula nie bierze:
Nie tak panie przedtem było.













BIBLIOTEKA UNIwersYTECKA
W POZNANIU



223430